ROK PIĄTY.

—

№ 12.

WARSZAWA

d. 6 (18) marca

1860.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

Środopostna.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli w zyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

A na co się przyda ten, co jałmużny nie czyni? Pościsz co dzień, modlisz się, i to nic; bez miłosierdzia nie rodzajna jest modlitwa i płonna. Wszystko jest nieczyste bez miłosierdzią, wszystko niepożyteczne; większa się część cnoty odcina. (*Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*)

Lampka w kościołku.

I.

Na granicy oddzielającej Francyę od Hiszpanii, niedaleko gór Pirenejskich, stał na wyniosłości zwanej *pagórkiem Maryi* kościołek, poświęcony czci Najświętszej Panny. Budowa jego była prostą, wnętrze ubrane bogato: różne srebrne w ota zdobiły jego ściany. W ołtarzu jaśniał obraz Matki-Boskiej, piastującej na ręku Dzieciątko Boże; lampka płonęła dzień i noc, nigdy ona nie gasła. Lampka ta urządzona tak, iż przez okno nade drzwiami wchodowemi rzucała światło na okolicę, była przewodnicą dla wędrowca w nocy błądzącego. Droga, która szła od kilku wiosek okolicznych, wiodąc do głównego gościńca w dolinie, przechodziła tuż około kaplicy, i była wązką, stromą, a biegła ponad przepaściami. Przy kościołku tym mieszkał kapłan.

U stóp rzeczonej góry, niedaleko od kościołka leżała osada, zamieszkała przez biednych wyrobników, żyjących ze ścinania i obróbki drzewa w lesie. Pomiędzy chatami rozrzuconemi tu w dolinie, odznaczała się jedna czystością, podobnie jak jej mieszkańcy pracowitością i najlepszem prowadzeniem się. Była to chata Jakóba wyrobnika. Kiedy on bywało, poszedł na robotę, Magdalena żona jego siadała do kołowrotka, a przy niej bawiła się 6cio letnia Marynia, dziecko nad wiek swój roztropne, miłe i żywe.

Ale nagle rysy jej mienić się zaczęły; biedni rodzice nie mieli odwagi wypowiedzieć przed sobą samymi obawy, jaka ich dręczyła. Lecz gdy Marynia z każdym dniem stawała się bledszą i chudszą, i siły jej nikły widocznie, nieszczęśliwi rodzice, w utrapieniu swojem, zabrawszy dziecię jedyne, poszli do kościołka, by tu u Matki syna Bożego wyprosić zdrowie i życie dla swej jedynaczki. W kościołku zastali kilkoro modlących się ludzi; zachodzące słońce ostatniemi promieniami swemi oświecało przez okienko wnętrze przybytku Pańskiego, cudownej łagodności rysy Matki Zbawiciela i jej Boskiego Syna.

Pieśń ogólnej modlitwy rozlegała się naokoło; nareszcie lud się rozszedł, a zostali tylko sami Jakóbowie. Zmrok wieczorny zapadał; zapalona lampka oświecała teraz obraz ołtarza, i jak wprzód słońce, tak teraz jej miłe światełko ukazywało rysy anielskie królowej niebios, w których się przebijała miłość i słodycz nadziemska. Pod takiem wrażeniem ojciec i matka Maryni modlili się szczerze i gorąco, i uczynili ślub uroczysty dla uproszenia zdrowia córki, że taż 7 lat nosić będzie ubiór biały, jako godło ofiarowania jej najczystszej Dziewicy Swiętej, a rodzice pościć raz na tydzień przez takiż przeciąg czasu.

O! tak, mówił ojciec, córka nasza będzie czystą jak lilija biała, jak kwiat stojący przed ołtarzem, a jej cnoty błyszczeć będą, jak ta lampka, która przyświeca wędrowcowi wśród nocy. O! nie daj Matko Zbawiciela, aby ta lampka kiedy zgasnąć miała.

I odeszli do domu. Marynia rosła zdrowa i szczęśliwa, a gdy już doszła lat większej pojętności, sama biegała na górę do kościołka, w bielutkiej szacie, i modliła się do królowej niebios, znosząc na jej ołtarz najświeższe kwiatki z gór i dolin.

Tak upłynęło lat 6. Ale teraz w życiu ubogich mieszkańców doliny zaszła zmiana.



Dwóch jakichś ludzi nieznanych osiedliło się z rodzinami w sąsiedztwie Jakóbów. Wybudowali oni sobie mieszkania— ale mężczyzni tej nowej osady nie mieli zatrudnienia stałego, kobiety zaś próżnowały i były nieporządne. Jakaś tajemnica okrywała tych dziwnych ludzi. Po niejakim czasie matka Maryni dostrzegła wielkiej odmiany w życiu i charakterze swojego męża. Opuścił on się w pracy, a ztąd i zarobek jego się zmniejszył. Milczący, i zamknięty w sobie stał się ponurym i wzdychającym; wracał do domu późno. Nareszcie pewnego razu przed wyjściem na robotę odezwał się do żony: nie czekajcie na mnie, bo dziś zapewnie bardzo późno powrócę.

Słowa te, wyrzeczone prędko i z roztargnieniem zraniły serce żony i córki.

Wieczorem więc poszły obiedwie do kościołka, aby boleść swoję złożyć u stóp Pocieszycielki strapionych. I modliły się długo a serdecznie: łzy popłynęły im z oczu i zakończyły modlitwę; Marynia zaś uczyniła przed ołtarzem Matki-Boskiej nowy ślub, o którym się później dowiemy.

Po modlitwie powróciły spokojniejsze do domu. Marynia mianowicie była weselszą, lica jej płonęły jakimś niezwykłym rumieńcem szczęścia i swobody.

Nazajutrz już była godzina 8, gdy Jakób powrócił do domu. Rzucił on kiesę na stół, przy którym już żona i córka pracowały; spojrzały obie po sobie, a kiedy Jakób udał się na spoczynek i w kilka godzin potem powróciwszy, zastał kieskę nieporuszoną z miejsca,

— Co to znaczy? zapytał... boisz się Magdaleno dotknąć tych pieniędzy?

— Jakóbie, jak ich nabyłeś?

— Uczciwie, jak zawsze... cóż to, myślisz, żem je ukradł?

— Boże zachowaj, ale na twoję pracę to za duży zarobek...

— Bądź spokojną moja żono. Należę tu do jednego interesu; i oto pierwsze zyski z niego.

Mimo chwilowego uspokojenia, biedna kobieta nie śmiała się dotknąć dzisiejszych pieniędzy. Podwoiła ona swą pracę i czynność, aby zarobić na potrzeby domowe, a grosza nie ruszyła. Jakób jednak znosił do domu coraz większe summy, ale za to zaniedbał on

obowiązków chrześcianina; a jeżeli poszedł w niedzielę do kościoła, robił to z przymusem i więcej dla oka ludzkiego.

Ale któż to byli owi nieznani ludzie, o których wspomnieliśmy? Byli to rozbójnicy i przemytnicy w górach, na granicy dwóch krajów w okolicy lesistej osiedli, aby łatwiej mogli wykonywać swe haniebne rzemiosło. Powoli poznawszy słodki i słaby charakter Jakóba, wciągnęli go do swej znajomości. Obiecywali mu następnie złote góry, aby go zjednać dla swoich celów. Biedny Jakób słuchał ich z początku obojętnie, a gdy się dowiedział o ich zamiarach, zadrżał. Ale złoczyńcy ci potrafili mu wyperswadować i przywiązać do wspólnictwa; z czasem Jakób podobnie jak oni przemycał towary, dzieląc się zyskami. Aby zaś człowieka tego związać zupełnie z sobą, złoczyńcy owi przedsięwzięli niebezpieczną wycieczkę, w której nawet przyszło do walki z uzbrojoną strażą. Władza nakazała ścisłe śledztwo, i ogłosiła znaczną nagrodę za głowę każdego z kontrabandzistów tak zuchwałych. Główni przywódcy tej ohydnej bandy grozili Jakóbowi wydaniem go władzy, jeżeliby ich na chwilę odstąpił; tym sposobem nieszczęśliwy Jakób wpadł w sidła, których nie przewidział, i stał się wykonawcą i wspólnikiem ich występnych zatrudnień.

Biedny Jakób jakże się zmienił teraz!.. blady, wychudły, ponury, unikał ludzi i bał się samego siebie. To sumienie, które karze każdego przestępcę. Zrozumieli złoczyńcy to działanie sumienia i ofiarowali Jakóbowi zupełną wolność, ale pod jednym warunkiem: miał on spełnić czyn ostatni, ale straszny!

A co też robiły biedna jego żona i córka? Oto żyły w nędzy coraz większej i w smutku, który je zabijał. Chata ich dawniej tak schludna i pełna wewnątrz wesela, niszczała i głuchła. Nieszczęśliwe kobiety nie śmiały oczu pokazać przed ludźmi: zdawało im się, że na nie spadnie pogarda i hańba, na jakie Jakób zasługiwał. Modlitwa tylko, modlitwa szczera i ze łzami połączona, przesyłana do królowej niebios, matki wszystkich sierot i cierpiących, dźwigała ich serca i dodawała mocy do znoszenia nędzy i goryczy życia!

Jak owa lampka jaśniej świeci, gdy ją ciemności otoczą, tak cnota jaśniejszą się staje wśród przeciwności, które ją ogarną. Podobnie cnoty Maryni i jej matki jaśniały żywiej, w miarę, jak ich ciała upadały pod brakiem na pierwsze potrzeby życia, a serca przed brzemieniem dolegliwości. Marynia pracowała, a niejedno westchnienie wydarło się z jej piersi, niejedna łza popłynęła z oczu— ale wnet podniosła wzrok ku niebu, anielski uśmiech rozweselił jej rysy, a wargi drżały, jakby wymawiały jakieś tajemne słowa.

— Moje dziecko, rzekła raz matka do Maryni, czego ty płaczesz?

— O! nie chcę ja nic ukrywać przed tobą kochana matko. Płaczę oto na myśl, że niedługo przyjdzie mi zrzucić białe moje ubranie, a przywdziać szatę światową.

— Tak, moja Maryniu! teraz musisz więcej i cięże pracować; biała suknia nie do tego.

— O! ja się nie lękam pracy, ani się wstydzę,żem ubogą włościanką; ale raczej boję się o to, że po zdjęciu tej szaty, wystawioną będę na więcej pokus, niebezpieczeństw, i może ta królowa niebios nie będzie miała tyle łaski dla mnie.

Ale czas moja matko, abym ci powiedziała, jaki ostatni ślub uczyniłam mojej Najświętszej Opiekunce... oto ofiarowałam jej życie moje w zamian za nawrócenie biednego ojca mego!

Na te słowa matka zadrżała i odrzekła:

— O! nie powódź na pokuszenie niebios córko moja; usłyszą tam modlitwę twoję, ale nie za taką ofiarę. Wszak twoje zdrowie, mówiła dalej po chwili milczenia, dzięki Bogu nigdy tak kwitnącem jak dzisiaj nie było...

Postanowiły przeto biedne niewiasty, iż w dzień 7 rocznicy pierwszego ślubu pójdą do kościoła, i po modlitwie Marynia zdejmie szatę białą, a przywdzieje grube ubranie włościanki.

Zobaczmyż teraz, co się dzieje z Jakóbem? Upłynął czas namysłu, który mu złoczyńcy dali do dokonania ostatniej wyprawy, poczem mieli zaraz uciekać, a cały ciężar wszystkich swoich zbrodni zrzucić na wspólnika. Biedny Jakób nie rozumiał tej zasadzki. W dniu oznaczonym do wyprawy spólnicy podpoili Jakóba trunkiem, nareszcie objawili mu cel wyprawy: złupienie i obdarcie kościołka

Matki-Boskiej ze wszystkich wotów, które się na ścianach znajdowały!

Wiadomość ta jak piorun spadła na nieszczęśliwego Jakóba.

— Nie, nie! ja nie zrobię tego! zawołał głosem rozpaczy.

— Żona twoja i córka padną pod naszemi sztyletami, jeżeli tego nie dokonasz, odrzekli zimno zbrodniarze.

Mieli oni w tem widoki swoje, bo chcieli poszukiwania władzy zwrócić na Jakóba, robiąc go sprawcą tak głośnej i niesłychanej zbrodni.

Znając charakter tych ludzi, Jakób zachwiał się; sam nie był zdolnym spełnić ohydnego czynu, ale zdecydował się towarzyszyć złoczyńcom.

Chwila nagliła; już kawał nocy zeszło na sporach i groźbach. Milczący i ponurzy doszli nareszcie do drzwi kościołka. Postanowiono, iż jeden stać będzie zewnątrz, a drugi z Jakóbem wejdzie do środka. Drzwi nie były na klucz zamknięte, bo nikomu przez myśl nawet nie przeszła możność świętokradztwa. Szli ostrożnie, i drżący zatrzymali się na progu. Cisza głęboka zaległa świątynię, tak, że Jakób mógł słyszeć bicie swojego serca i głos sumienia. Lampka płonęła jasno i rozlewała miłe światełko na ołtarz i ściany. Jakób spojrzał na anielskie rysy królowej nieba; rysy te zdały mu się mówić: ach! Judaszu, chcesz więc sprzedać Syna Bożego twoim pocałunkiem? Nie mógł znieść tego Jakób, i spuścił w dół oczy. Przypomniał sobie ową chwilę, kiedy przed 7 laty czynił ślub uroczysty na intencyą swej córki; tu, w tych samych miejscach, wszystko dziś jak było, tylko on inny!

Widziadła te odpychał od siebie, dźwignął jeszcze raz oczy w górę, ujrzał lampkę; oświeciła ona otchłań jego serca— osłupiał, i już ani obietnice, ani groźby nie były zdolne posunąć go do zbrodni. Archanioł z ognistym mieczem mniejby mu się strasznym okazał, niż ten wzrok cichy, anielski, który z obrazu na niego padał.

Ale czas naglił; jeden ze złoczyńców przypomniał Jakóbowi obowiązek przyjęty:

— Dalej, dalej do dzieła!

— Nie, nie... nie mam sił ani odwagi!

— Dalej, mówię ci... chcesz więc ujrzeć twą córkę zabitą za powrotem do domu?.. i zgrzytnął dziko zębami.

Jakób uczuł się bezsilnym... chwila łaski przeminęła... szatan zwyciężył, i w rozpaczy nieszczęśliwy zawołał:

— Niech się więc spełni... do dzieła!.. ale aby tylko ta lampka nie świeciła... zgaście ją!

I mówiąc to, zasłonił oczy rękami, aby lampki nie widział.

— Ponieważ ci ta lampka przeszkadza, pozbądźmy się jej, zawołał towarzysz zbrodni... mówiłeś, że srebrna, zabierz ją... ja tymczasem wezmę lichtarze z ołtarza...

Jakób więc wyciągnął ręce rozpaczliwie, i tłumiąc dech w piersi, zagasił lampkę. W tej chwili krzyk przenikający rozległ się nazewnątrz, tak nagły, tak pełen boleści, że się zdawał wybuchać z piersi nadziemskiej jakiej istoty; nie można było odgadnąć, zkąd tu doleciał: z góry, czy z dołu, zbliska, czy zdaleka? Był bowiem jak uderzenie piorunu krótkim... nie powtórzył się już więcej; ale nastąpił tak zaraz po zgaszeniu lampki, żeś uczuł, iż zagaśnięcie było przyczyną, a krzyk skutkiem jego...

(Dokończenie nastąpi).

O literaturze niepisanej i poezyi ludowej.

II.

Długie minęły wieki, zanim zwrócono u nas uwagę na bogate źródła rodzinnej poezyi, i nie ubiegło dotąd połowy stulecia od czasu, w którym Adam Czarnocki, powszechniej pod imieniem *Zoryana Chodakowskiego* znany, pierwszy wskazał pisarzom krajowym niewyczerpane skarby w baśniach, gadkach i pieśniach ludowych złożone. Ów Adam Czarnocki syn niezamożnych rodziców, urodził się na Litwie r. 1784; w szkołach, które chlubnie w Słucku ukończył, odznaczał się niepospospolitą zdolnością i olbrzymią pamięcią. W młodocianym jeszcze wieku, w cichym wiejskim zakącie marzył z zapałem o wskrzeszeniu poezyi swojskiej, (gdyżeśmy się do owej pory po większej części obcą żywili) o zbieraniu pieśni ludu, badaniu jego podań

i zwyczajów. Śmiano się z niego jako z zapaleńca i marzyciela, gdy gorliwie wybadywał starych rolników o rozmaite podania, lub gdy się przysłuchiwał spiewom wieśniaczek. Ukończywszy w r. 1802 nauki szkolne, przebywał lat kilka w Mińsku, tułał się po rozmaitych stronach, wreszcie w r. 1813 udał się do Galicyi. Tu z całym zapałem rzucił się do szperania podań ludowych; śmiały, lubiący podróże, przedsięwziął obejrzeć cały lud słowiański. Z kijem w ręku, z torbą na plecach, przechodził wioski i miasteczka, rozmawiał ze starcami, uczęszczał na wieczornice, spisywał piosenki ludu, rozkopywał starożytne mogiły *żalnikami* zwane, przeglądał stare dokumenta i rękopisma.

Ogromny ciężar wziął on ochotnie na siebie, nie tak to albowiem łatwo jest zbierać piosnki i przypowiastki ludu, jak się na pozór zdaje. Widziałem, powiada Michał Wiszniewski, jakich Chodakowski doświadczył trudności, choć umiał wszystkie narzecza ruskie i polskie; chodził on w obdartej kurtce i częstował wódką. Lud albowiem wiejski zamyka serce i duszę przed człowiekiem, którego poczytuje za coś wyższego od siebie; nie przypuszcza on go do tajemnic swoich uczuć, ani będzie śpiewał za pieniądze jak tyrolczyk. Niejedna jasnowłosa słowianka czułe prośby Chodakowskiego o piosnkę, brała za natrętną miłość; nieraz zamiast piosnki zelżywe słowa odnosił, a czyli go czasem i co gorszego nie spotkało, zaręczyć nie mogę. Lecz nietylko prostoty wiejskiej, nawet młodzieży uczącej się i nauczającej, szlachty i nie szlachty był pośmiewiskiem nasz uczony Chodakowski. Nikt nie umiał powiedzieć, czego on szukał, choć się rad każdemu z chęci swych tłumaczył.

W roku 1814 udał się Chodakowski do Petersburga, gdzie się zapoznał ze znakomitszymi uczonymi rossyjskimi; za ich staraniem mianowany został urzędnikiem w ministeryum oświecenia, które poruczyło mu badanie starożytności słowiańskich po całej Rossyi. Wszędzie zbierał podania ludu, odkrywał nieprzeliczone prawie *horodyszcza* (dawne siedziby plemion słowiańskich); w pałacach, dworach, karczmach, w chatach, na opuszczonych polach, wszędzie go było pełno. Życie jego było pasmem nieprzerwanych wędrówek, badań i pracy. Umarł w roku 1825 w gubernii Twerskiej, w samej sile wieku, z wielką szkodą dla całej słowiańszczyzny.

Przykład jego, jakkolwiek nie zaraz znalazł naśladowców, zwrócił wszakże uwagę na bogactwa poezyi w łonie ludu naszego złożone. Młodzi poeci, a na ich czele Adam Mickiewicz, otrząsając się z form dawnej szkoły, korzystać zaczęli w pracach swych z rodzinnych podań. Pojawiły się wnet ballady(*) jego na tem tle osnute jak: Switeź, Switezianka, To lubię, Lilije, i wiele innych; ballada jego p. t. Rybka, jest wzięta żywcem ze śpiewu gminnego.

Komuż znaną nie jest pieśń gminna, poczynająca się od słów: *Stała nam się nowina?* Na tle tem Mickiewicz utworzył jednę z pięknych swych ballad; podobnież i drugą, p. t. *Ucieczka*, która się zaczyna od słów:

On wojuje, rok upłynął,
On nie wraca, może zginął.
Panno szkoda młodych lat,
Od książęcia jedzie swat.

Niopocieszona dziewica po utracie narzeczonego, odrzuca rękę książęcia, a pragnąc go choć raz jeszcze ujrzeć, udaje się do zaklęć i guseł za namową starej czarownicy; ale grzech spełniony wnet zasłużoną otrzymuje karę. Zaledwie zegar zamkowy północ wydzwonił, zjawia się nagle upiór w postaci narzeczonego; dziewczyna ulega jego namowom i daje się uprowadzić z domu rodzicielskiego. Jeździec z ciężarem swym puścił się na czarnym koniu przez pola i lasy, i nim pierwszy kur zapiał, stanął na cmentarzu:

Wtedy jeździec pannę ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął;
Rumak ludzkim śmiechem ryknął.
Przeskoczyli wałem mury:
Biją dzwony, pieją kury.
Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jeźdźcem i panną.
Na cmentarzu cisza była:
Stoją krzyże, głazy leżą;
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

—

Ksiądz nad grobem długo stał,
I mszę za dwie dusze miał.

(*) Opisanie nadzwyczajnego zdarzenia, które w rzeczywistości nie istniało.

Przemiana rzeczy
najpośledniejszych w najprzedniejsze, dokonywająca się sposobem **rzemieślniczym**.

—

Mówiliśmy dotąd, (patrz nr. 6 Czytelni z r. b.) o ziemi zwierzchniej, teraz pomówimy o ziemi spodniej. W wielu okolicach kraju naszego znajdują się kopalnie glinki fajansowej czyli farfurowej, pomieszanej z piaskiem, który łatwo oddziela się przez rozmącenie tej glinki z wodą w jednem naczyniu, np. w kadzi, i przez spuszczenie tego, co się w wodzie rozmąciło, w inne niższe naczynie, a potem przez ustanie się w niem mętów na dnie i przez zlanie z nich wody.

Męty tym sposobem otrzymane, są wspomnioną dopiero *glinką fajansową*, która zmieszana z piaskiem, drobno w żarnach wodnych umielonym, a potem w stosownej panwi wygotowana i dobrze w ręku po zgęstnieniu i ostygnieniu wyrobiona, daje *ciasto*, z którego robią się zwyczajne białe *talerze fajansowe* i inne podobne do nich piękne *naczynia*, a nawet figurki czyli *wizerunki*.

Z takiej glinki fajansowej wyrabiają u nas we wsi Jedlnie, położonej między Radomiem i Kozienicami tyle pięknych rzeczy, że rocznie przedają ich tam blizko za trzydzieści tysięcy złotych. W innych miejscach naszej ziemi polskiej, jak np. w Iłży i Ćmielowie otrzymują się podobne piękne wyroby z *glinki* gotowej *fajansowej*, ale także zmieszanej często z piaskiem białym, a zatem wymagającej podobnie jak w Jedlnie wypławiania przez wodę cząstek jej drobniutkich, i potem zmięszania ich z drobno *mielonym piaskiem*, albo też z palonym, tłuczonym i także mielonym *krzemieniem*. Przez to i zarazem przez gotowanie oraz gniecenie otrzymuje się *ciasto*, z którego wyrabiają się oprócz naczyń i wizerunków fajansowych, naczynia zwane *kamionkami, imbrykami* i t. p.; a nawet otrzymują się z niego tak zwane *cegły ogniotwrałe*, które używają się do budowania *pieców hutniczych* i w ogólności do sporządzania *ognisk*, mających bez zepsucia się bardzo wielki wytrzymywać ogień.

Po *glince fajansowej*, otrzymywanej przez wypławianie z piasku białego mułkowatego, albo zwyczajnej, następuje *glina garncarska*, rożniąca się śliskością i gładkością w dotknięciu od gliny ceglarskiej. Glina ta przez rozmącanie jej w wodzie i zlewanie jej mętów w inne niższe naczynie, a potem przez ich ustanie się na dnie zamienia się w tak zwane *ciasto garncarskie*, z którego wyrabiają się nietylko bardzo dobre *garnki* i inne *naczynia kuchenne*, ale jeszcze *kafle piecowe*; te ostatnie podobnie jak *miski, dzbanki, półmiski* i *talerze* polewają się stopioną mieszaniną *piasku* i *glejty*.

Zwyczajni garncarze nie oczyszczają gliny przez jej wypławianie, tylko przez jej krajanie na cienkie jak papier płateczki i wybieranie z niej kamyków, a potem przez jej deptanie i gniecenie w ręku. Ale ten sposób i więcej wymaga pracy, i nie jest tak dobry jak pierwszy, a zatem powinien być zaniedbany, i zastąpiony przez lepszy.

Glina garncarska używa się nietylko na naczynia kuchenne i kafle piecowe, ale jeszcze na figury czyli *modele rzeźbiarskie*, które wprzód wyrabiają rzeźbiarze z tejże gliny, a potem z ich pomocą odlewają właściwym sposobem sztukatorowie figury z gipsu, żelaza lanego i śpiżu czyli bronzu; albo też wykuwają je kamieniarze z marmuru, z piaskowca, lub z innych kamieni, na wzór tych, które rzeźbiarze ulepili z gliny.

Po glinie garncarskiej następnie z kolei *glina ceglarska*, która różni się zwykle od niej pewną ostrością w dotknięciu i kolorem, pochodzącym od zawartej w niej miałkiej *rudy żelaznej żółtej*, zwanej przez mularzy *ugrem żółtym*.

Glina ta wypławiona i właściwym sposobem wyrobiona, zamienia się w *ciasto ceglarskie*, które samo jest już rzeczą bardzo użyteczną, bo używa się z wiekszą korzyścią do wylepiania pieców i kominów, aniżeli glina zwyczajna; ale w największej ilości używa się ono, tak jak taż glina zwyczajna do wyrabiania cegieł.

Nasi ceglarze nie przygotowują jeszcze zwykle gliny na cegłę przez jej wypławianie, tylko przez mieszanie różnych jej gatunków z sobą i z piaskiem, przez co otrzymują wprawdzie dość dobre *ciasto ceglarskie*, ale nie tak wyborne, jak jest to, które się wyrabia sposobem wypławiania. Jednak tyle ma ono już zalety, że nawet samo może się używać do wylepiania kominów, pieców i do stawiania

budowli glinianych zwanych *pacą*, *pizami*, *jaskółczemi gniazdami*, albo ponaszemu *lepiankami*.

Lepianki te stawiają się najlepiej, układając na podmurowaniu kamiennem lub ceglanem glinę dobrze ze *słomą* wydeptaną, i prześcielając ją *wrzosem*, poprzecznie do ściany układanym, ubijając dobrze ubijakiem drewnianym, pomiędzy dwoma balami mocno z boków podpartemi.

Tak wybudowana *lepianka*, po otynkowaniu jej zwyczajną zaprawą mularską, która się dobrze będzie trzymała ściany, z powodu wystających z niej nieco odziomków wrzosu, kładzionego niemi naprzemiany ku polu i izbie, nie będzie się wiele różniła od budowli murowanej, a o wiele będzie od niej tańsza i przez każdego, mającego cokolwiek zręczności i znajomości budowania, może być wystawiona.

Ciasto ceglarskie otrzymane jakimkolwiek sposobem z *gliny ceglarskiej*, a często i z *garncarskiej*, zmieszanej z *piaskiem* i używane samo przez się do rożnych robót, jest pierwszym wyrobem glinianym czyli pierwszą *przednią rzeczą*, będącą owocem pracy człowieka, zmierzającej do jego i powszechnego dobra, bo już tak użyteczną, że się z niej oraz ze słomy i wrzosu mogą budować rzeczone piękne *lepianki*. Ale ważniejsze jest takowe ciasto przez to, że służy bez słomy i wrzosu do otrzymywania *cegły surówki*, która się robi przez nakładanie tegoż ciasta w formy głębokie zwykle na cali 3, szerokie na 6, a długie na 12.

Tak wyrobiona *surówka* suszy się pod szopami i w innych miejscach przewiewnych, wolnych od deszczu i upału, przez co sama bez wypalenia może służyć do murowania *parkanów i domów*. Ale musi być dobrze za pomocą *ciasta ceglarskiego* i układzionego na niem poprzecznie *wrzosu* lub *słomy* łączona, bo inaczej nie tworzyłaby mocnego muru i nie mogłaby być trwale po wierzchu obtynkowana, dla braku wystających z pomiędzy niej odziomków tegoż wrzosu lub słomy.

Po *cieście ceglarskiem* i *cegle surówce*, następuje *cegła właściwa* czyli *palona*. Cegła ta otrzymuje się wprost z *surówki* przez jej wypalenie w piecach ceglarskich, dla wydzielenia z niej, zawartej w glinie wody, przez co cegła nabywa takiej twardości i wytrzymałości, że się niekiedy z kamieniem pod względem tych własności równa, i przez to może być, tak jak on, jeżeli nie na bruk, to przynajmniej na chodniki i do wykładania korytarzy czyli sieni używana.

Cegła wypalona ażeby się stała *murem*, potrzebuje mieć przygotowany dla siebie drugi podobny do *ciasta ceglarskiego* wyrób, to jest tak zwaną *zaprawę mularską*, która jest mięszaniną *wapna wypalonego gaszonego z piaskiem ostrym*.

Wapno tak wypalone, zlasowane wodą i zarobione piaskiem, czyli owa zaprawa mularska, ściśle wiąże cegły, pomiędzy które się kielnią narzuca.

Na tej zasadzie fundują się z *cegły* i z tejże *zaprawy* sposobem mularskim *fundamenta* domów, *ściany*, *sklepienia*, *kolumny i gzémsy*, czyli jednem słowem *mury*, które są czwartą pożyteczną przemianą *gliny ceglarskiej* i *piasku*.

Kasper Ostatek.

(historya prawdziwa)

Jak dobre czyny człowieka Bóg wynagradza i w długie lata błogosławi jego potomstwu, następujące zdarzenie okazuje. Przed stu przeszło laty żył we wsi Jedlonce poczciwy chłopek, imieniem Kasper, o którego pierwotnem nazwisku i pochodzeniu nie mamy wiadomości. Pobożny, pracowity i miłosierny, był wzorem dla wszystkich mieszkańców wioski; a był młody i nieżonaty. Pojąwszy w małżeństwo również poczciwą wieśniaczkę imieniem Justynę, sierotę, żył z nią jak Bóg przykazał w zgodzie i miłości małżeńskiej. Jedną myślą oboje złączeni, wspólną miłością Boga i bliźnich przejęci, dorabiali się kawałka chleba. Ale dorobek ten bardzo im szedł niesporo, bo Kasper służąc za parobka u gospodarza i biorąc tylko rocznie pięć *talarów twardych*, to jest czterdzieści złotych zasług i okrycie, musiał z tego utrzymywać i żonę swoję. Lecz Bóg o dobrych ludziach zawsze pamięta. Pan starosta Rawski, dziedzic Jedlonki, dowiedziawszy się o cnotach poczciwego Kacpra, kazał go do siebie

przywołać, aby go bliżej poznał; a gdy z jego rozmowy przekonał się, że Kasper jest człowiekiem rozsądnym i pobożnym, obsadził go na roli i zrobił wójtem (1) we wsi Jedlonce. Wdzięczny Kasper był do dworu całem sercem przywiązany, a swoją bogobojnością, dobrocią i rozsądkiem zjednał sobie szacunek dziedzica i dobre słowo u ludzi. Garnęła się też ludowina do poczciwego Kaspra; jeden po radę, drugi po wsparcie, a on nikomu nie odmawiał swojej pomocy, bo wszystkich kochał jak braci. Zawiązały się wkrótce i liczne stosunki pomiędzy sąsiadami a Kasprem: ten go prosił w kumy, ten na swata, ów na opiekuna dzieci, a on wszystkim dogodził, wszystkim mądrze poradził, bo miał rozum choć chłopski, ale zdrowy i serce litościwe. Po latach płodnych, nastały lata nieurodzajów, które przyprowadziły włościan do ostatniej nędzy. Nikt we wsi nie miał, ani ziarnka zboża, a do nowego chleba było jeszcze daleko. W takim stanie posmutniały twarze biednych mieszkańców Jedlonki, trwoga przejmowała ich serce, a widok zgłodniałych dziatek żądających chleba, łzę im z oczu wyciskał. Możniejsi ratowali się jak mogli, sprzedawali ostatnię bydlę, aby kupić chleba, zabijali dobytek na pokarm; ale biedniejsi doznawali całej okropności nędzy, żywili się łobodą i chwastami, aby utrzymać to nędzne życie. Dawał i dwór zapomogę, i proboszcz udzielał wsparcia; ale to wszystko nie było wystarczające dla licznej ludności, jaka wówczas we wsiach szlacheckich zamieszkiwała. Wśród takiego nieszczęścia i poczciwy Kasper nie odmawiał swojej pomocy biednym, dzielił się z nimi swoim chlebem i niejednę rodzinę przy życiu zachował. Miał on więcej od innych, bo pracą, oszczędnością zgromadził sobie i chleba i grosza; a chociaż żył za owego króla Sasa, gdzie wszyscy jedli i pili i popuszczali sobie pasa, on nie przepił swej pracy, bo się brzydził pijaństwem. Gdy już i on wyczerpnął prawie swoje zasoby, przybywa do niego wdowa z dwojgiem małych dzieci i prosi o pomoc. Tknięty litością nad zgłodniałemi dziećmi, oddaje im resztę mąki i mówi z czułością: masz kobieto, ale to już ostatek—a ona uniesiona wdzięcznością, wzniosłszy zapłakane oczy ku niebu, zawołała z westchnieniem:

Oby za ten ostatek
Dał ci Bóg dostatek.

I odtąd nazwisko *Ostatek* nadane zostało Kasprowi od całej gromady Jedlonki, które w następstwie czasu stało się chlubną nazwą jego potomstwa. Wkrótce po tem nieszczęściu Bóg wejrzał okiem miłosierdzia na lud strapiony; wróciły lata szczęśliwe i urodzajne, wróciła swoboda i radość do wsi Jedlonki, a poczciwy Kasper Ostatek, który odtąd tak się już zaczął nazywać, był do zgonu swego celem szacunku, czci i poważania mieszkańców Jedlonki.

Kasper Ostatek miał dzieci sześcioro ze swojej żony Justyny, a gdy mu ją Bóg zabrał, ożenił się zdrugą żoną imieniem Katarzyną, z którą miał dzieci czworo, pomiędzy niemi Macieja syna, nieodrodnego od siebie.

Maciej Ostatek z żony Petroneli miał dzieci sześcioro; pomiędzy niemi był Jan Ostatek, który ze wsi Jedlonki przeniósł się na gospodarstwo do wsi Nowej-Woli. Podobnież jak jego dziad Kasper odznaczał się on pobożnością, trzeźwością i miłosierdziem nad biednymi.

Jan Ostatek z żony Agnieszki miał dwóch synów, Józefa i Jędrzeja, oraz trzy córek: Giertrudę, Apolonią i Juliannę, którzy dziś jedynie potomstwo Ostatków stanowią, a naśladując wszyscy cnoty swych przodków, również są litościwymi dla biednych, pomnąc, że Bóg za dobre czyny wynagradza ludzi obficie i w długie lata darzy błogosławieństwem dzieci poczciwych i bogobojnych rodziców.

(1) Dzisiéjszy sołtys.

Sprostowanie.

W nrze 11 Czyt. na stron. 90, w wierszu 45 szpalty 1éj, po wyrazie: *osłaniały*, ma być wyraz *resztki*, a w wierszu następnym zamiast *Małodecznem* ma być *Mołodecznem*.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 29 lutego (12 marca) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*